

Motyl na wieszaku

Boris Pahor

Było jesienne przedpołudnie, przejrzyste, ale niosące już ze sobą woń zimy. W przesyconym słońcem powietrzu utrzymywał się ostry powiew nocy, napełniając je mrowiem jasnych i chłodnych szklanych iskier. Morze w dole gęsto pokryły drobne, koronkowe zmarszczki. Dobrze to było widać z okien szkolnej sali. Te srebrne koronki i igły masztów, ledwo zauważalnie się kołyszące. A bliżej łagodne zbocze, opadające wśród zalanych słońcem domów; wszystkie były białe lub bladożółte, tylko jeden przypominał czekoladową barwą rdzenia pośród kawałków czystej twardzieli.

Julka stała przy oknie i rysowała coś palcem wskazującym na szybie.

– Nieprawda – powiedziała.

– Pływasz jak ołów – powtórzył Marko.

– Nieprawda – i pokręciła głową, tak że jasne warkoczki przesunęły się po jej ramionach. Z przodu czoło było pięknie szerokie, bo włosy zostały ciasno zaplecione; zaś cienki nos z urazą przeciwstawiał się docinkom.

– Wiem, leżysz na dętce – powiedział.

– Bez dętki też potrafię!

Wtedy do okna podszedł Danilo, chłopiec wyglądający podobnie jak inni w trzeciej klasie szkoły podstawowej, w krótkich, obcisłych spodenkach, które odkrywały prawie całe uda. Kosmyk jasnych włosów nad lewym okiem.

– Otworzę okno – powiedział.

– Otwórz je, otwórz, Danilo – poparła pomysł Julka.

– Na dętce z autobusu każdy potrafi pływać – kontynuował Marko.

– Julka dobrze pływa – wtrącił się Danilo.

– Wiemy, czemu jej bronisz – odparł Marko – jesteś w niej zakochany!

– Coś ty powiedział?

Ale Marko już uciekł i wmieszał się między uczniów, którzy tłoczyli się między katedrą a ławkami. Trwała przerwa. I, jak wszędzie w czasie przerwy, nauczyciel wyszedł z klasy, a dziewczęta i chłopcy ganiali się lub robili z papieru samoloty, które wzbijały się w powietrze nad ławkami. Gwar. Wrzaski i krzyki. Triumfalny aplauz, gdy samolot wystrzelił przez okno, a gromada uczniów przywarła do parapetu, by śledzić szerokie łuki zataczane przez szybowiec w słońcu.

– Najpierw leżałam na dętce, a potem ją odepchnęłam i pływałam sama – powiedziała Julka.

– Przecież wiem – odparł Danilo.

Kiedy samolot zniknął za rogami budynku, gromada wróciła na środek klasy.

– W te wakacje łowiłem ryby – powiedział Danilo.

– Naprawdę?

– Tak, z wujkiem. W nocy.

– W nocy?

– Tak, z lampami.

– Ojej, z lampami! – powiedziała. Jej twarzyczka była pochylona w bok, tak że warkoczki leżały ukośnie na plecach.

– Na łodzi są zawieszane lampy – wyjaśnił – i ryby są oślepięte światłem, i nie widzą sieci.

Wtedy Julka krzyknęła:

– Aaaj!

A Marko szybko umknął po tym, jak ją pociągnął za warkocz. Danilo rzucił się za nim i gonił go w tłumie.

- Przeskakiwali przez ławki i wpadali na tych, którzy wypróbowywali nowe samoloty. Marko pobiegł do drzwi, żeby uciec na korytarz, ale Danilo chwycił go za sweter na piersiach.
- Tchórz – powiedział.
- Mamo! – wykrztusił Marko.
- Cha, cha, cha! – śmiała się klasa.
- Cykor – powiedział na to Danilo i odepchnął go od siebie; potem wrócił do ławki i usiadł na swoim miejscu. W klasie znów było głośno. Czapki znikły z wieszaka i teraz ze środka sali leciały z powrotem na żelazne haki. Długi, drewniany wieszak na prawo od wejścia, jak we wszystkich szkolnych salach. I czapki frunęły w powietrzu, trafiały w ścianę, zsuwały się po niej i upadały na podłogę. Niektóre nawet zaczepiały się na haku, ale raczej nie te, którymi chłopcy wcześniej wywijali, udając filmowych kowbojów zarzucających lasso.
- Danilo, chodź ino – powiedziała Julka. Ciągle jeszcze stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Była odwrócona tyłem do klasy. Wtedy zgiełk przycichł i uczniowie usiedli w ławkach. Brzmiało to tak, jakby szykowali nową psotę i za chwilę miał się podnieść jeszcze większy gwar. Dlatego się nie zorientowała, że do klasy wszedł nauczyciel.
- Chodź ino tu, Danilo – powtórzyła. Może myślała o lampach, które palą się na łodziach pod wielkimi kłozami, jak pod szerokimi kapeluszami, i oszukują ryby. Ręka nauczyciela przyglądała włosy przy prawej skroni. Czarne i twardo zlepione pasma, lśniące jak smoła. Pod nosem cienki, zaostzony wąsik. W butonierce znaczek z wiązką różg i siekierą¹.
- W jego oczach zapaliły się ogniki.
- *Giulia!*
- Obróciła się powoli, jakby zaskoczenie odebrało jej całą siłę. Spojrzała na nauczyciela, potem na ławki, które wstrzymały oddech; odruchowo podwinęła dolną wargę i lekko przycisnęła ją małymi ząbkami.
- *Giulia!* – ponownie krzyknął ze złością, ale jakby nie ją wołał, wypowiadając to imię, tylko dziewczynkę, nad którą jej powierzono opiekę, a o której przez niedbałość zapomniała. Otwarte okno z tyłu tworzyło szerokie ramy pustki, w których mieściła się jej drobna sylwetka.
- *Vieni qui?*² – rozkazał i jego oczy nabrzmiały. Julka poruszyła się, a wtedy wzburzone palce chwyciły ją za ucho.
- Nie chcę słyszeć tego paskudnego języka – wycedził, chodząc w jedną i drugą stronę przed ławkami i ciągnąc za sobą ucho. – Nie chcę.
- Mówiąc, prawie sapał.
- Rozumiecie, że nie chcę?
- Klasa wpatrywała się w niego i w Julkę. Oczy poruszały się powoli, aby zbyt gwałtownym ruchem nie powiększyć jej bólu pod mocnymi palcami. A on kręcił się wokół niej jak uwięziony w zaczarowanym kręgu. Niczym pies na straży, który może jedynie zataczać koła w promieniu wyznaczonym długością łańcucha.
- Zeszyty na ławki!
- Nikt się nie poruszył.
- Zeszyty na ławki, powiedziałem!
- Tu i ówdzie automatyczny ruch ręki, podczas gdy spojrzenia tkwiły w jego przesywających oczach.
- *Devo parlare soltanto italiano*³ – wypowiedziały usta pod cienkimi, czarnymi wąsikami. A oczy były w niego wpatrzone, nieruchome, jakby skamieniałe.
- Macie napisać sto razy! – krzyknął do oczu. Po chwili znów wrzasnął:
- Macie napisać tysiąc razy!
- Rzędy ustawionych w szeregi oczu przybliżyły się teraz do niego w ciszy, która stała się ciężkim ołowiem, wszędzie wokół i w jego ręce, w palcach ściskających ucho Julki. Jakby znalazł się w wirze ściągającym go na dno i wszystkie oczy pchały go coraz głębiej w ten wir.
- Ty, ty, ty – mówił i odsuwał się od głuchej pętli, która bezgłośnie nad nim krążyła. A teraz już sam krąży w jej wnętrzu, bo ciągnie Julkę jednocześnie za prawe i lewe ucho, odpycha ją, trzęsie nią, nawet nie zdaje sobie sprawy, że jest przy oknie i przyciska jej plecy do drewnianej ramy, jakby chciał ją zepchnąć w pustkę, tam gdzie wcześniej poszybował samolot z papieru. A teraz znów jest na środku sali. Mamrocze „ty, ty, ty”. I pochyla się, jego głowa zbliża się do jej głowy. Tak na korridzie pochyla łeb rozsierzdzone zwierzę, którego oręż góruje nad czołem. I popycha ją do drzwi. Do futryny. Do wieszaka z żelaznymi hakami. I jego czoło ociera się o hak, to boli, więc podnosi głowę. A wtedy jego ręce stają się nagle jeszcze bardziej niespokojne. Prawie dygoczą, jakby znalazły wyjście z wiru dziecięcych oczu. I trzęsą się, gdy dłoń dotyka żelaza, a druga ręka podnosi Julkę i zaczepia mocno splecione warkocze na haku.

¹ Tzw. *fascies*, emblemat włoskiego ruchu faszystowskiego.

² (wł.) „Podejdz tu”.

³ (wł.) „Muszę mówić tylko po włosku”.

Klasa wzdrygnęła się, jakby ogarnięte gorączką ciało przeszedł dreszcz. Gdzieniedzie zaskrzypiała ławka.

– *Silenzio!*⁴

Stał na środku sali i dyszał ze wzburzenia. Palcem wskazującym poluzowywał kołnierzyk, jakby go dusił krawat.

– Zobaczmy, czy was czegoś nauczymy – powiedział, sapiąc. Wyglądał, jakby poszukiwał przerwanej nici pamięci i był niezmiernie daleko od ławek, jakby ławki nie mogły go słyszeć. I odsuwały się od niego coraz dalej i dalej, te ławki. Coraz bardziej przepastna próżnia go od nich dzieliła, tylko oczy były wciąż wszystkie na nim, wszystkie na nim.

– Gdzie są zeszyty?! – krzyknął, żeby uciec przed oczami. Ale wszystkie oczy patrzyły na Julkę. I wszystkie ławki wstrzymywały oddech, żeby oczy jeszcze ciaśniej ją otaczały. Tak jakby z nich, z oczu, za chwilę miały wyrosnąć dziecięce dłonie niczym gołębie pióra i podnieść jej ciało, zmniejszając cierpienie. A jej oczy były aksamitnie i wilgotnie miękkie, bo stopy nie dotykały podłogi. Różowa wstążka, którą były spięte warkocze, przysiadła na haku jak motyl z rozłożonymi skrzydłami. **I**

Tłumaczenie z języka słoweńskiego: **Paweł Penszko**

⁴ (wł.) „Cisza!”